

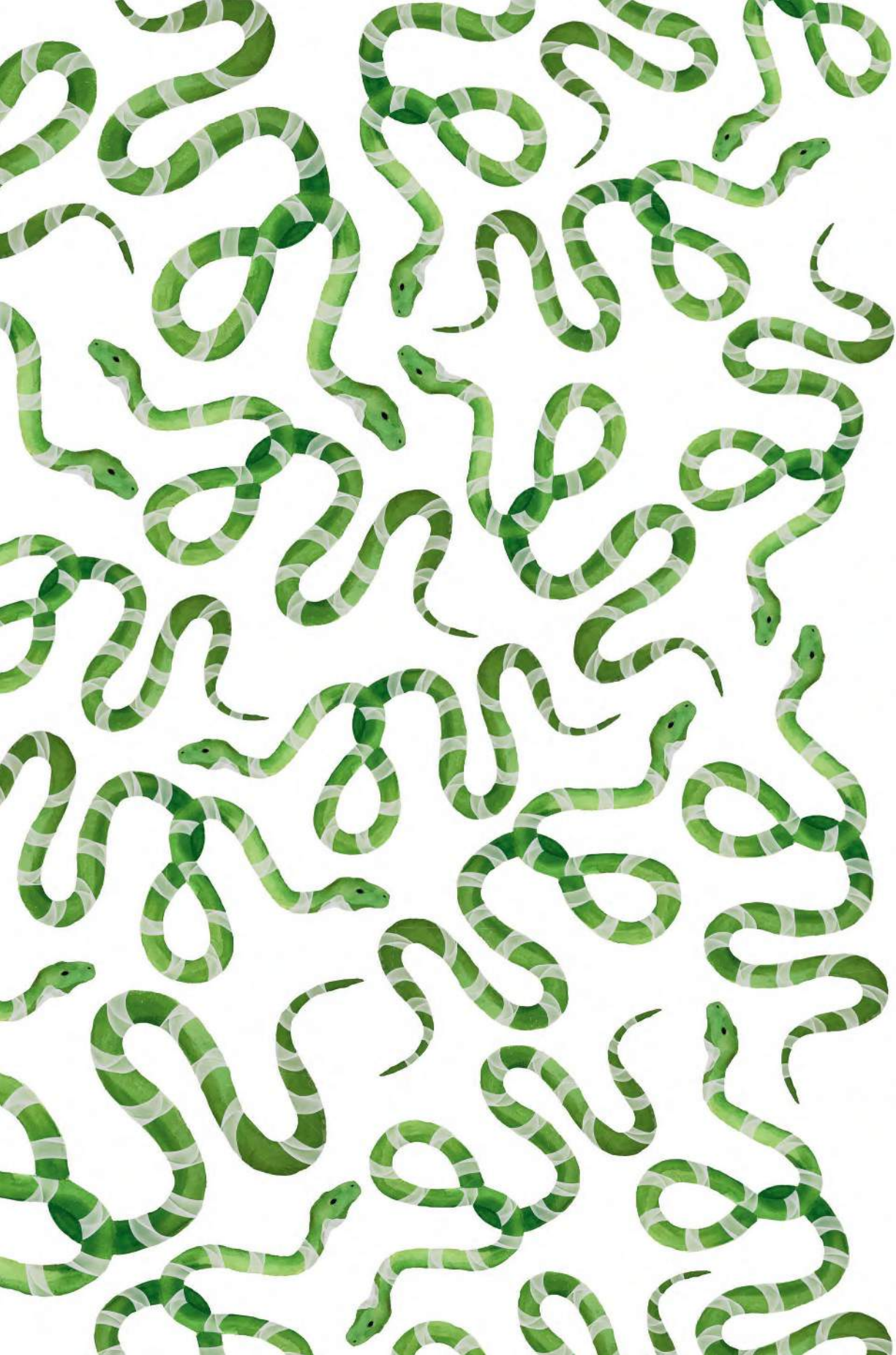
EDMUND

NIZIURSKI

Nowe przygody Marka Piegusa

(również niewiarygodne)

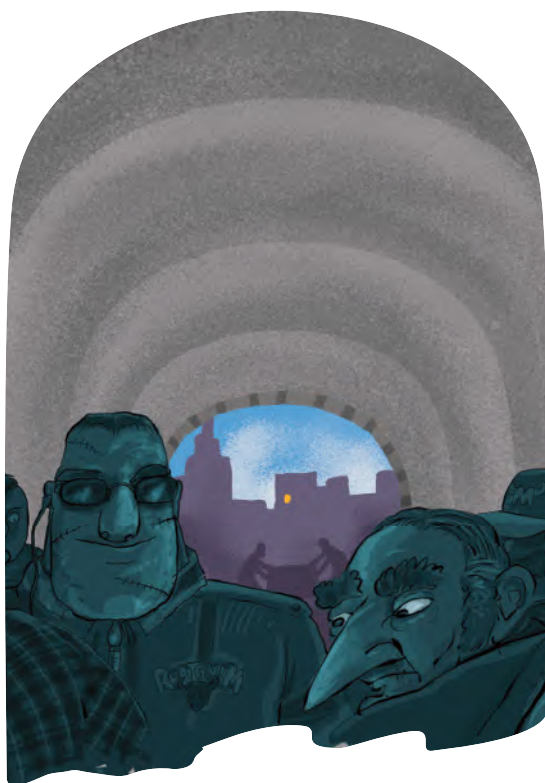




EDMUND

NIZIURSKI

Nowe przygody
Marka Piegusa
(również niewiarygodne)



Edmund Niziurski

Nowe przygody Marka Piegusa (również niewiarygodne)

Redakcja i korekta:

Agnieszka Antosiewicz, Klaudia Król,
Paulina Roszak-Niemirska, Maria Zagnińska

Ilustracje:

airdynamic, AleksandraNimf, alexandralarina, AlexGreenArt, Anastasia Lembrik, Anastezia Luneva, Angel Lina, Anna Ismagilova, Antikva, Anzhelika Yankovskaya, Art_is_mrrr, Azurhino, BlackStork, Cat_arch_angel, Catherine Glazkova, Catya Shok, characters for your, chelovector, cuteaspushkin, Daria Ustiugova, Darina Autumn, Di_Shutter, Dlinnychulok, Dneprstock, Elena Ahmad, Elena Maen, Elena Medvedeva, Evgeni ShouldRa, FuzzyLogicKate, Gordan, Gouache7, Gulman Anya, Inspiring, Ivanova Julia, Iya Balushkina, Jane_Mori, Julia August, KA-KA, Katflare, Katya K, Katya Polnoch, Khatkevich Alla, kois00kois, Kolesov Sergei, Kovaleva Galina, krusto, lacuarela, Le Panda, Lenny712, Lesya4ka, Maiia Vysotska, Maltias, Maria Kuza, Maria Sem, Mariya Stupak, Mdesignstudio, mimibubu, miminoshka, mimomy, MyStocks, NadineVeresk, Natalia Hubbert, Natallia Novik, nld, NotionPic, Oleksandr Yashchuk, otter x otter, PATCHARIN SIMALHEK, Perfilava, pimlena, Plateresca, PYRAMIS, RuNa8, runLenarun, schiva, Sergey Korkin, shekaka, Sonya illustration, Super Cat, SvetaZi, Svetlana Shishkanova, Tania Khalaziy, Tanya Syrytsyna, Tatiana Ka, Tina Bits, una_llenella, Undrey, Val_Iva, vector illustration, vector_ann, Vera Petruk, Veronika Surovtseva, Vestery, Voranee, wacomka, xtock, Yulia She, Yunaco, ZUBKOVA IULIA

ISBN 978-83-7517-464-9

© Copyright by Zofia Niziurska

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.
2019

Wydawnictwo GREG®

ul. Klasztorna 2B

31-979 Kraków

tel. (12) 680 15 50

www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Layout okładki: Aleksandra Zimoch

Ilustracja na okładce: Mikołaj Kamler

Skład i łamanie:

Pracownia Register



Rozdział I

Na początku było nieposłuszeństwo pospolite. Marek kupuje anakondę. Mustafon Idiosynkrazy

Czy tych fatalnych zdarzeń nie można było przewidzieć? Oczywiście, że można było, i to, co się stało w ów feralny piątek, nie było ani dla mnie, ani dla detektywa Hippollita Kwassa, ani dla nikogo, kto znał Marka, żadnym zaskoczeniem. A czy można było temu zapobiec? O, to już inna sprawa! Wszak Markowi stale przytrafiały się przygody z byle czego i byłoby naiwnością mniemać, że niedawna przeprowadzka rodziny Piegusów z Bielna do Szczęśliwic mogła tu cokolwiek zmienić. Marek sam powinien o tym dobrze wiedzieć, ale... no cóż, jak wiemy, rozsądek nie należał do najsilniejszych stron tego chłopca.

W piątek po południu pani Piegusowa powiedziała:

– Marku, jestem na dziś umówiona z moim bioenergoterapeutą i zostawiam mieszkanie pod twoją opieką, bo pan Surma i Alek wrócą dopiero późnym wieczorem. O piątej przyjdą ludzie z firmy „Minotaur”, wiesz, tacy w pomarańczowych ubraniach, i będą nam zakładać alarm przeciwko złodziejom. Przymknij, że będziesz ich pilnował i nie wyjdiesz ani na chwilę!

– Przyrzekam, mam – rzekł szybko Marek, niecierpliwie zerkając na zegar. Chciał, żeby matka wyszła jak najprędzej, i miał swoje powody.

– Pamiętaj, masz tutaj siedzieć plackiem i poza tymi ludźmi z „Minotaura” nikogo nie wpuszczaj!

– Cioci Dory też nie? – Marek zainteresował się wyraźnie.

– Ciocię Dorę tak, bo ciocia Dora należy do rodziny – wyjaśniła matka – zrozumiałeś?

– Tak, mam.

– To okropna dzielnica, kręcą się tu różne podejrzane typy. Więc uważaj, jak ktoś zadzwoni do drzwi, najpierw upewnij się przez judasza, czy to nie jakiś oszust albo, nie daj Boże, znów ten komornik, co nas nachodzi i chce nam zabrać telewizor, żeby zaspokoić wierzących.

– Mam, a kto to są wierzący?

– To tacy ludzie, co wierzyli, że tato odda im pożyczone pieniądze. Przecież wiesz, że nasz kochany tatuś narobił długów i bimba sobie.

– Wcale nie bimba – zaprotestował Marek – tylko leczy się w sanatorium.

– Raczej się tam ukrywa – rzekła z goryczą matka – a nam zostawił cały ten pasztet na głowie, więc uważaj...

– Będę uważał, mam, ale po czym poznam tego komornika?

– Jest wielki, łysy, gładko wygolony i uśmiecha się lisio...

– Lisio?

– Tak, i jeszcze jedno. Nie sprowadzaj mi tutaj żadnych kolegów!

– Ależ mam...

– W żadnym wypadku. Znoszą mi jakieś paskudztwa w rodzaju barakudy¹.

– Barakuda nie jest paskudztwem – jęknął Marek, patrząc niecierpliwie na zegar – ona jest całkiem miła, co mama chce od barakudy?

– Nie życzę sobie... masz talent dobierania samych stukniętych kolegów... zupełnie nieodpowiedzialnych. Wiesz, jak łatwo wpadasz w tarapaty, nie chcę, żeby przez tych łobuzów coś ci się przytrafiło. Trzymaj się

od nich z daleka, zwłaszcza od tego przygłupa, co lata na materacu, i od tego idioty, co okręca sobie szyję węzłem dusicielem jak szalikiem.

– Nie wiem, o kim mama mówi – mruknął Marek urażony, że tak się traktuje znanego sportowca Adriana Swędziaka, mistrza lotów na parolotni, oraz znakomitego znawcę i przyjaciela zwierząt Sylwestra Baruszyńskiego z klasy siódmej B, prezesa Kolegium Zwierzęcego (jak wiadomo, pod tą nazwą kryło się po prostu kółko przyrodnicze Markowej budy).



¹ Barakuda – duża, drapieżna ryba morska.

– A wracając do cioci Dory – dodała matka już w drzwiach – bądź dla niej, synku, bardziej grzeczny.

– Kiedy ona wciąż mi zagląda do gardła i każe połykać pastylki.

– Ale pożyczyła nam pół miliarda starych złotych² na mieszkanie. Pomyśl o tych miliardach, synku, a przełkniesz jej pastylki gładko.

Kiedy matka wyszła, Marek ponownie spojrzął na zegar i zakręcił się niespokojnie. Dochodziła czwarta, a o tej właśnie godzinie miał odbyć ważne spotkanie w Salamandrze właśnie z prezesem Baruszyńskim, czyli Baruchem, i dokonać życiowej transakcji, a mianowicie zakupu na wyjątkowo korzystnych warunkach dwu węży dusicieli. Chodziło o dwie młodzietki, zaledwie metrowej długości anakondy, ale Marek liczył na to, że uda mu się podchować „maleństwa” do czasu, aż osiągną podaną w encyklopedii długość jedenastu metrów. Tym sposobem Marek zostałby właścicielem najdłuższych dusicieli w kraju. To była kusząca perspektywa...

Skąd ta okazja na tani zakup? Otóż od pewnego czasu mówiło się w budzie, że prezes jest w poważnych opałach domowych. I rzeczywiście, Marek sam to potwierdził wczoraj, kiedy spotkał Sylka po drodze do szkoły. Biedny Baruch wyglądał jak siedem nieszczęść. Jego dawniej pełne rumiane policzki były zapadnięte i pobladłe, jego niegdyś żywe oczka za okularkami teraz były podpuchłe tudzież zaczerwienione i wydawały się jeszcze mniejsze niż zwykle. Mówił cicho, nieswoim chropawym głosem, a jego ulubiona tresowana biała myszka Miki, którą stale nosił w kieszeni, łażyła mu po szyi i twarzy, domagając się żałosnym piskiem śniadania, lecz on nawet tego nie zauważył. Świadczyło to niewątpliwie o głębi jego prostracji³.

– Co z tobą, chłopcze? – zapytał ze współczuciem Marek.

– Nie pytaj – zachrypił Sylek – to już koniec.

– O czym ty mówisz? Koniec czego?

– Wszystkiego – zajączał. – Koniec z moimi zwierzętami i ze mną też koniec... Ona powiedziała, że sprzeda moje zwierzęta, a jak nie kupią, to odda je do uspienia, bo tylko zabierają mi czas, bo przez nie marnuję moje zdolności i nie rozwijam się... W domu będzie tolerowała tylko kanarka albo... kotka.

– Tak powiedziała? Ale... ale kto?

– Jak to kto?! No, ona, ta malowana balerina.

– Ba... balerina? – wytrzeszczył oczy Marek.

– No, pani Baruszyńska numer dwa – Baruch uśmiechnął się gorzko. – Ty nie wiesz, że teraz mam nową, piękną mamę?

² *Pół miliarda starych złotych* – akcja powieści dzieje się niedługo po denominacji złotego w 1995 r., czyli zmianie przelicznika waluty. Zanim ludzie przyzwyczaili się do nowych liczb, w rozmowach między sobą podawali, ile to było „starych złotych”.

³ *Prostracja* – skrajne zmęczenie psychiczne.



Zatkało mnie.

– Na zawsze?

– Nie wiem. Moje ciotki mówią, że ona zatrzymała się u nas tylko przelotnie, po drodze do Metropolitan Opery w Nowym Jorku albo do Hollywood. Jest młoda, energiczna, troskliwa i lubi uszczęśliwiać. Mnie też postanowiła... Powiedziała, że dotąd rosnę jak psi grzybek pod płotem, a naprawdę to jestem brylant...

– Brylant? Ty?

– Nicoszlifowany. Tak powiedziała. I powiedziała, że ona mnie oszlifuje i postara się mądrze, z pożytkiem dla mojej kariery, zagospodarować mój wolny czas.

– Ładnie powiedziane.

– A wszystko dlatego, że nie chce być jak te złe macochy z bajek i przyrzekała mojemu tacie, że zadba o moją przyszłość. Tak mi powiedziała.

– **Niebezpieczna historia! Przestraszyłeś się?**

– Z początku nie bardzo, ale potem... – głos prezesa załamał się, otarł oczy.

– Co potem? – dopytywał Marek.

– Czy ty wiesz, co ona mi zrobiła?

– No... zaczęła organizować ci wolny czas.

– Właśnie, ale jak?

Marek wzruszył ramionami.

– Zgadnij!

– No, nie wiem... Zafundowała ci lekcje tenisa?

– Ba, żeby to! – jęknął Baruch.

– Może kurs komputerowy?

– Gdzie tam, ona gardzi komputerami. Mówi, że zabijają prawdziwą sztukę. Wpadła na bardziej oryginalny pomysł.

– Załatwiła ci kurs chińskiego?

– Nie, nie zgadłeś.

– No to nie wiem.

– Ona powiedziała, że mam dobry głos i słuch i że zrobi ze mnie śpiewaka, tenora!

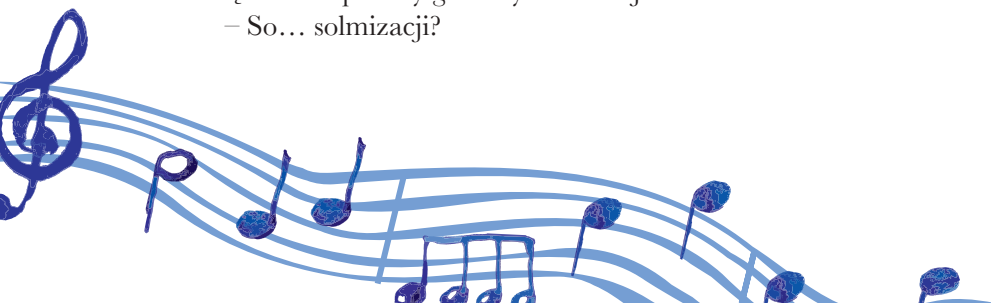
– Śpiewaka?! Tenora?! – Marek wytrzeszczył oczy.

– Operowego. Ona jest bardzo ambitna.

– O... operowego tenora?! Z ciebie? To obłąd.

– No właśnie. Ale ona tak nie uważa. Wmówiła sobie, że mogę zostać sławnym artystą, takim jak Caruso, Kiepusa czy Pavarotti... I na początek urządziła mi po trzy godziny solmizacji dziennie.

– So... solmizacji?



– No, wiesz, musisz czytać nuty z solfeża⁴ i wyśpiewywać: do-do, re-re, mi-mi, fa-fa... całą gamę do góry i z powrotem, a potem jeszcze inaczej: sol mi, sol mi, la sol, la sol i parasol. Oszaleć można. Tak mi dosoliła, bracie! Trzy godziny dziennie aż do zachrypnięcia!

– To okropne! – wykrzyknął Marek, przejęty losem prezesa.

– Nie mam już na nic czasu – jęknął Baruch – nawet tyle, żeby nakarmić zwierzaki. Najbardziej żal mi anakond dusicieli. Widziałeś je, są milutkie...

– No, nie wiem, czy to słowo akurat pasuje do nich – rzekł Marek. – Ja bym powiedział, że są po prostu wspaniałe i... groźne. Lubię groźne zwierzęta – dodał po chwili.

– To jeszcze mikrusy, mają dopiero po metrze wzrostu, prawie niemowlaki, ale zobaczysz, jak urosną. Wtedy dopiero będą groźne! – oznajmił Baruch. – Niestety, nie doczekamy tego – dodał po-

nuro. – Jutro ma się ukazać to ogłoszenie w gazecie o ich sprzedaży. Balerina już dziś wsadziła je do wanny i zamknęła łazienkę na klucz. Nie wiem zupełnie, co robić... jak je ratować... – otarł zaczerwienione oczy.

I wtedy nagle olśniła Marka śmiała myśl: to jest przecież jedyna życiowa okazja, żeby stać się szczęśliwym posiadaczem dusicieli, i byłby głupkiem żołądnym, gdyby jej nie wykorzystał, powiedział więc do Barucha:

– Sytuacja jest krytyczna, ale uszy do góry, Baruch, nie płacz! Ocalimy te maleństwa!

Sylek ściągnął brwi.

– Ciekawym jak – jęknął.

– Wezmę je do siebie.

– Żartujesz! – Baruch z wrażenia zdjął okulary.

– Po prostu kupię... – oświadczył Marek – jeśli sprzedasz mi tanio – dodał Marek.

– Tanio?

– No, wiesz, to specjalna sytuacja... a ja nie śmierzę groszem... więc jeśli nie policzysz drogo...

– Nie policzę – rzekł szybko Sylek. – Sprzedam ci za pół darmo z uwagi... no właśnie z uwagi na horrendalną sytuację⁵. Dasz tylko stówę.

– Za oba?



⁴ Solfeż – książka służąca do ćwiczeń w odczytywaniu nut.

⁵ Horrendalny – tutaj: straszny, dramatyczny.

– Coś ty... stówę od łebka, razem dwie stowy. To żałosny handelek, ale mam nóż na gardle!

– Oszałałeś? Uszczyp się w łędźwie! Skąd wezmę tyle? Nie! Widzę, że chyba nic z tego. – Marek udał zniechęcenie.

Sylek chrząknął.

– A ile dasz?

– Pięćdziesiąt za oba, z tym, że zapłacę w dwu ratach. Teraz połowę, a drugą pierwszego października, jak dostanę od starych kieszonkowe.

Baruch rozważał przez chwilę w milczeniu, a potem westchnął ciężko i machnął zrezygnowany ręką.

– Zgoda, to żałosny handelek, ale mam nóż na gardle. Odstąpię ci te małeństwa za pięćdziesiąt, ale pod dwoma warunkami...

– Jakimi?

– Po pierwsze będę mógł codziennie odwiedzać te ślicznotki, a po drugie będę miał prawo odkupić je w tej samej cenie od ciebie, gdy tylko Balerina odleci od nas do Metropolitan Opery albo do Hollywood.

– Wierzysz w to? – Marek pokręcił głową.

Baruch zacisnął zęby i zapatrzył się w dal...

Więcej targów nie było. Warunki umowy zostały jasno ustalone i przyjęte. Umówili się, że spotkają się jeszcze dziś o godzinie czwartej w cukierence Salamandra, Marek przyniesie pieniądze, a Sylek – węże.

Jak już wiemy, transakcja ta była dla Marka niestęchanie korzystna, toteż gdy tylko trzaśnięcie drzwi windy upewniło go, że mama zjeżdża w dół, zaraz rzucił się do regału z książkami i z poradnika *Jak przyrzęczać zupki dla niemowląt* (którego od lat nikt nie wyciągał z półki, bo wszyscy w domu już wyrosli z zupek niemowlęcych) wyjął dwadzieścia złotych, a potem już w swoim pokoju wydostał zza obrazka z postacią anioła stróża trzy banknoty po dziesięć złotych (chowane tam przed wścibskimi siostrami) i wymknął się z mieszkania z nieco nieczystym sumieniem, bo przecież przyrzekł mamie, że do jej powrotu nie ruszy się z chaty. Owszem, miał pewne skrupuły... niestety z przykrością muszę przyznać, że nader szybko uporał się z nimi. To głupie – pomyślał – zadrećcać się jakimiś wyrzutami, obwiniać się i niepokoić. To bez sensu! Nic się przecież nie stanie, jak wyskoczy z mieszkania na tę małą godzinę. Wszak ci od alarmu przyjdą dopiero o piątej, a transakcja z prezesem Baruszyńskim nie zajmie więcej jak kwadrans, więc zdąży bez problemu wrócić do domu na czas. Tak, problem właściwie jest tylko jeden: żeby się Baruszyński nie rozmyślił albo... albo nie znalazł lepszego kupca.

Pędzony niepokojem, nie czekając na windę zbiegł na dół sadząc po dwa stopnie naraz. Gdyby wiedział, w jaką historię się pakuje! Ale biedak zapomniał zbyt łatwo chyba i przedwcześnie o swoim pechu, zresztą trudno się

temu dziwić, bo tu w Szczęśliwicach koledzy go całkiem rozpuścili; jak tylko dowiedzieli się, że jest prawdziwym Markiem Piegusem, tym samym, o którym czytali w książce, z miejsca stali się dla niego bardzo uczynni i mili. I wszyscy chcieli się z nim zaprzyjaźnić. Mistrz Adrian Swędziak od razu zaproponował Markowi wspólny trening na paralotni, Bąbel i Syfon z miejsca chcieli go przyjąć do swojej agencji PIPIUS, a Pinkwas do swojego rockowego zespołu, nie pytając nawet, czy ma jakieś umiejętności wokalne. Tak więc rozpieszczony Marek nie pamiętał, że musi być dwakroć czujniejszy i ostrożniejszy niż inni, bo los lubi mu płać przygody „z niczego”. Jego myśli zaprzętały tylko anakondy. Myślał, że dziś wieczorem trzeba będzie je nakarmić i wykąpać. Musi zapytać Barucha, co im dać do jedzenia i gdzie urządzić im siedlisko. W łóżku? Pod łóżkiem? Czy lepiej zawiesić je na ścianie? Oczywiście przejściowo, do czasu, aż kupi im porządne terrarium.

Na dworze chciał pobiec do autobusu na przełaj przez trawnik, ale niespodziewanie przytrzymała go czyjaś mocna ręka. Pomyślał, że to rozgniewany dozorca, zdrętwiał i obrócił się, ale to nie był dozorca, to był śmieszny zadyuszany grubasek z parasolem. Miał wyłupiaste jak u ryby oczy, czarną, kręconą jak u barana karkułowatego czuprynę i wielką czarną brodę; w ręku trzymał czerwoną reklamówkę z napisem MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄZKI.

– Przepraszam, młody człowieku – odezwał się, łapiąc z trudem powietrze – nie pogniewasz się, że oprę się na twoim ramieniu i nieco odsapnę, bo naprawdę gonię resztkami; mam tętniak, niewydolność serca i bąblowiec wątroby. Jestem ruiną człowieka, a kiedyś był taki dżygit⁶ ze mnie. Pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Mustafon Idiosynkrazy i jestem pochodzenia turko-tatarsko-ujgurskiego, lecz, jak sądzę, zechcesz poświęcić mi chwilkę uwagi i nie masz uprzedzeń rasowych.

– Nie mam uprzedzeń – odparł zaskoczony Marek – ale bardzo się śpieszę.

– To moment – rzekł czarnobrody, rzucając wokół niespokojne spojrzenia. – Czy nie widziałeś tu gdzieś strażaków?

– Strażaków? Nie – Marek potrząsnął głową – a bo co? Pali się?

– Tylko grunt pod moimi nogami. Znalazłem się w opałach, synku.

– Jest pan ofiarą, jak mój tata?

– Ofiarą? Czego? W jakim sensie?

– Ofiarą rozbuchanej konsumpcji; tak powiedział nasz sublokator, pan Surma, kiedy tata za jednym zamachem kupił na raty opla vectrę, telewizor,



⁶ Dżygıt – kaukaski jeździec konny; przen. ktoś niezwykle sprawny i odważny.



faks, komputer i telefon komórkowy, a teraz ścigają go komornicy. Ale nie wiem, czy pan Surma ma rację, bo on jest trapistą⁷.

– Trzymacie w domu trapistę jako sublokatora? – Mustafon spojrzał podejrzliwie na Marka. – Może pomyliłeś się, dziecko?

– Nie, on jest trapistą, bo zawsze czymś się trapi. Tak powiedział pan Cedur. Czy pan też jest trapistą? – Marek przyjrzał się bacznie Mustafonowi.

– Nie w tym sensie, chłopcze. Mój kłopot jest, że tak powiem, innego kalibru.

– To co panu dolega?

– Gonią mnie...

– Więc jednak komornicy!

– Nie. Strażacy.

„To wariat – pomyślał Marek. – Chyba urwał się prosto z domu bez klamek”. A głośno powiedział:

– Czy dobrze pan się przypatrzył? Może to po prostu policja albo tacy w białych kitlach?

– Nie, to strażacy, młody człowieku, a mówiąc ściśle, złoczyńcy przebrani za strażaków. Mówisz, że nie widziałeś żadnego?

– Żadnego, proszę pana.

– To dobrze, zatem mam chwilę oddechu. Zażyję odrobinę mikstury – to mówiąc, wydobył z zanadru płaską flaszeczkę i wysączył z niej resztę zawartości, po czym z ulgą zdjął sobie czarną brodę i wytarł starannie chusteczką pot z szyi.

Marek patrzył na niego w osłupieniu. „To nie wariat, to raczej jakiś zbiegły, maskujący swe oblicze kryminalista” – pomyślał i zdjął go strach przed tym człowiekiem.

– Gorąco, nie masz pojęcia, jak taka broda grzeje – Mustafon wachlował się chusteczką. – Czemu tak na mnie patrzysz, przyjacielu?

– Pan ma sztuczną brodę? – wykrztusił Marek.

⁷ *Trapista* – mnich, członek Zakonu Cystersów Ściślejszej Obserwancji, założonego w miejscowości La Trappe we Francji.

– W rzeczy samej – westchnął Mustafon. – Prawdę mówiąc, cały jestem mniej lub więcej sztuczny i nieprawdziwy – to mówiąc, ściągnął z głowy kędzierzawą perukę, odsłaniając krótko ostrzyżone na jeża włosy lisiego koloru, po prostu – rude. – Czemu masz taką minę? Coś nie tak?

– Kim pan naprawdę jest?! – wybełkotał płacząco Marek.

– Dobre pytanie – Mustafon parsknął jak koń. – W tej chwili, moje dziecko, jestem śmiertelnie zmęczonym człowiekiem, osaczają mnie i nie mam już szans dotrzeć do celu. Ale chyba jestem niedaleko... To jest ulica Archiwistów, prawda?

– Tak, proszę pana.

– A zatem jeszcze nie wszystko stracone... nie wszystko stracone – sapnął grubas, wachlując się kędzierzawą peruką. – Pozostało zapasowe wyjście, wariant awaryjny... ulica Archiwistów numer jedenaście, który to dom, synku?

Marek, zaskoczony, zmarszczył brwi.

– To ten drugi wieżowiec z żółtymi balkonami. Ja tam mieszkam.

– Znasz niejakich Piegusów? – zapytał grubas.

Marka aż zamurowało... Poczuł rosnący niepokój. Nie był pewien, czy dobrze postąpił, wdając się w rozmowę z podejrzanym nieznajomym i zdradzając mu swój adres. No, ale stało się, i skoro już się wygadał, to może warto przynajmniej dowiedzieć się, o co temu grubasowi chodzi.

– Ja właśnie jestem Piegus – oświadczył śmiało.

– Ty?! – Mustafon przyjrzał mu się uważnie. – Chyba mnie nie nabierasz... twoja powierzchowność zgadza się z opisem, tak, zupełnie się zgadza...

– Z którym opisem?! Z jakim opisem! – zdenerwował się Marek, ale Mustafon poklepał go tylko po ramionach z poufałością może trochę przesadną.

– Ty masz kuzyna Alka, prawda? Czy jest w domu? – zapytał.

– Nie, proszę pana, wyjechał na cały dzień do Izabelina na konferencję z Japończykami od dzudo...

– No cóż, synku, w takim razie muszę cię o coś poprosić, to nam uprości sprawę. Przepraszam, ale nie mam innej alternatywy.

– Mnie? Poprosić? – Marek nastroszył się instynktownie.

– Wyglądasz na uczciwego chłopca, zresztą, jak powiedziałem, nie mam innego wyjścia – to mówiąc, wcisnął zdumionemu Markowi swoją czerwoną reklamówkę. – Weź... i zaopiekuj się tym! Tylko przez parę godzin – dodał szybko.

Marek spojrział nieufnie.

– Co tam jest w środku?

– Zobacz!

Marek zajrzał do reklamówki, a potem wsadził do niej rękę i wyciągnął dużą, misternie rzeźbioną szkatułkę.

- Co to za pudełko?
- To cenne puzderko, mój chłopcze.
- Przyjemnie pachnie – zauważył Marek.
- Bo jest zrobione z drzewa sandałowego.
- Czy mogę zobaczyć, co się w nim mieści? A może to tajemnica?
- Nie. Proszę bardzo, jak chcesz, możesz zerknąć, bylebyś wszystko włożył z powrotem... żeby nic nie zginęło.

Marek otworzył puzderko i zobaczył w nim skarpetki w pomarańczowe prążki, dezodorant, czerwone szelki, kasetę magnetofonową, dość dziwny kłuczyk, kawałek żółtego sera, piętękę suchego chleba, krawatkę na gumce i jeszcze jakis paprochy i papierki po cukierkach, po prostu śmieci!

Zawartość puzdra wydawała się dość osobliwa, ale przecież niegroźna, i Marek odetchnął nieco.

- Co mam z tym zrobić?
- Nic takiego... po prostu weź i schowaj u siebie. Rzeczy w tym puzderku nie wyglądają na ważne i drogie, ale zdarzyłoby się wielkie nieszczęście, gdyby wpadły w niepowołane ręce. Jeszcze dziś wieczorem ktoś zgłosi się po te fanty. Oddasz mu je. Ot i wszystko.

- Jak poznam tego człowieka?
- Poznasz go po tym, że poda umówione hasło. Zapamiętaj je! Po powitaniu powie on mianowicie: „Uczę jazdy na wielbłądach”, wtedy ty odpowiesz: „Dziękuję, dostaję od tego choroby morskiej”. Na co on odpowie: „Przepraszam, sapienti sat!”. Kiedy hasło zostanie wymówione, wręczysz puzderko temu człowiekowi.

– No, nie wiem – bąknął Marek. – Nie bardzo mi się to wszystko podoba... nie znam przecież pana. Wolałbym...

- Nie bój się i nie odmawiaj – przerwał Mustafon. – Zrób, o co cię proszę, a przysłużysz się sprawiedliwości. Imię twoje znajdzie się na ustach wszystkich, będą cię pokazywać w telewizji i pisać o tobie w gazetach.

Marek chrząknął zaaferowany. Ciekawiło go to tajemnicze puzderko z pachnącego drzewa sandałowego i cała ta dziwna przygoda, lecz z drugiej strony nie był pewien, czy może wierzyć temu nieznajomemu o śmiesznym wyglądzie i czy nie pakuje się znów w jakąś niebezpieczną kabałę. Chciał zażądać dodatkowych wyjaśnień, ale grubas dziwnie szybko nabrał sił i sadił już wielkimi krokami w stronę ulicy Dickensa, jakby w parasolu miał silnik odrzutowy.

Marek spojrzął w rozterce na zegarek. Już sześć minut po czwartej! W cukierni Salamandra Baruch niecierpliwi się już pewnie. Ściągać grubego nie było ani czasu, ani sensu. Wracać do domu i zostawić tam reklamówkę też nie! Marek rzucił się biegiem w przeciwną stronę.



Rozdział II

Salamandra i węże. Superstrażak Fastryga. Kto zamienił czerwone reklamówki? W szponach „Ruatonimu”

Cukierenka na ulicy Budżetowej na Ochocie nosiła niegdyś dumną nazwę Superata, choć popularnie nazywano ją Budżetówką, lecz popadła w długi i została sprywatyzowana. Kupił ją pan Marian Lewak, były podróżnik i obywatel; na jego temat krążyły w dzielnicy rozmaite plotki, nie wiadomo, w jakim stopniu prawdziwe. Podobno dorobił się okrągłej sumki dziesięciu milionów dolarów jako łowca i dostawca egzotycznych gadów do terrariów bogatych rezydencji na całym świecie. Część fortuny stracił jednak na ryzykownych zagrywkach giełdowych, część zostawił swoim pięknym żonom, a miał ich podobno po jednej z każdej ludzkiej rasy i z każdej części globu. Ze skromną resztą walut zawitał na starość do Warszawy i został właścicielem Budżetówki, którą prędko przechrzczył na Salamandrę. Cukierenka stała się wkrótce popularna w całej dzielnicy, gdyż jej atrakcją były nie tylko znakomite lody w dwudziestu czterech smakach i wielkie ciastka „mamuty”, lecz przede wszystkim ciekawe i oryginalne terraria ze szkła pancernego ciągnące się wzdłuż ścian. Można tam było podziwiać żywe węże ze wszystkich

kontynentów (z wyjątkiem oczywiście Antarktydy), w tym okazy najbardziej jadowite. Podobno ich obserwacja w trakcie jedzenia przysmaków znakomicie pobudzała apetyt i zwiększała obroty cukierni. Tu także w każdy wtorek i piątek miłośnicy węży, czyli ofiofile, oraz sprytni handlarze urządzali sobie prywatną, i chyba nielegalną w świetle przepisów, giełdę tych cieszących się coraz większym zainteresowaniem zwierząt, tu wreszcie oficjalnie odbywali swoje zebrania członkowie **Konfraterni Hodowców Węży Jadowitych**, natomiast nieoficjalnie i nieco wstydliwie zaglądali do Salamandry utytułowani członkowie Akademickiego Towarzystwa Ofiologicznego, gdy chcieli na własne oczy zobaczyć jakiś rzadki okaz gada, którego dotąd znali tylko z opisu.

Tego dnia też, jako że był to piątek, Salamandra zapchana była ofiofilami i handlarzami. Marek rozglądał się uważnie, lecz Sylka nie zauważył. Najgorsze obawy i podejrzenia zaczęły na nowo przychodzić mu do głowy. Może Baruch zniecierpliwiony czekaniem i spóźnialstwem Marka opylił węże komuś innemu, łamiąc umowę wstępną, którą zawarł był rano z Markiem, i ulotnił się? W takim razie ktoś powinien go widzieć. By się upewnić, Marek podszedł do bufetu, gdzie królowała Liliana, wiotka, melancholijna dziewczyna o długich rzęsach.

– Przepraszam – zagaił – czy nie widziała pani chłopca z dwoma węzami? Pani go zna, to taki okrągły okularnik, taki serdel... nosi mysz w kieszeni.

– Serdel?

– Nazywa się Baruszyński. Sylek, albo Sylwek Baruszyński.

– Ach, trzeba było od razu tak mówić – rozjaśniła się Liliana. – To ten szkolny prezes od zwierzątek, miły chłopak, pożyczył mi na imieniny mówiącą papugę. Była bardzo dobrze wychowana i mówiła gościom same komplementy. Wszyscy byli zachwyceni!... Nie, niestety, prezesa dzisiaj tu jeszcze nie widziałam, ale nie gorączkuj się tak, może przyjdzie, tylko się trochę spóźni. Mówił mi, że ostatnio ma jakieś kłopoty w domu i jest bardzo zajęty. Siądź, poczekaj parę minut i zjedz swoje ulubione pistacjowe lody! – kuszyła. – Dzisiaj z okazji giełdy jako stały klient dostaniesz ode mnie dwie porcje w cenie jednej!

„Liliana może mieć rację – pomyślał Marek. – Prezes po prostu się spóźni i wiadomo, z jakiego powodu, z powodu Baleriny. To macocha, to ta okropna macocha pewnie zatrzymała go w chacie i dręczy solmizacją.”

Nieco uspokojony tym wyjaśnieniem Marek dał się namówić Lilianie na „podwójne pistacjowe z rumem”, usiadł przy drzwiach i czekał. Kończył właśnie zajądąc pierwszą porcję i zastanawiał się, czy zjeść drugą, gdy usłyszał gwar wielu głosów i do zatłoczonego lokalu wepchała się gromadka nowych gości, wszyscy w wieku szkolnym. Rozgadani i podnieceni otaczali małego



grubaska z wiklinowym koszykiem w ręce. Marek wiedział, że w takich koszykach przynosi się tutaj węże. Serce zabiło mu mocno. Do licha, czyżby konwojowali prezesa Baruszyńskiego? Zerwał się z miejsca i dopadł do nowo przybyłych.

– Baruch! – zawołał, usiłując przekrzyczeć zgiełk ofiofilów.

Pulchny mężczyzna w okularach odwrócił się, ale to nie był Baruch, to był... znany botanik, specjalista od chorób roślin doniczkowych, emerytowany profesor Edwin Mamuszko. Przed dwoma laty, zbierając rzadkie zioła w stanie Assam w Indiach, został ukąszony przez ukrytą w trawach kobrę królewską. Cudem uniknął śmierci, a wypadek ten paradoksalnie sprawił, że dzielny profesor przerzucił swe naukowe zainteresowania na węże. Stał się podporą Towarzystwa Ofiologicznego i rzeczoznawcą Konfraterni Hodowców Węży Jadowitych. W ten piątek, jak się okazało, profesor Mamuszko przyniósł ze sobą wyjątkowo atrakcyjny okaz **żmii koralowej**⁸ i to było przyczyną tak wielkiego podniecenia ofiofilów.

Marek też zbliżył się zaciekawiony. Właśnie profesor Mamuszko narzędziem podobnym do wielkiego widelca wkładał żmiję do terrarium. Urzeczony pięknem kolorowego gada Marek pomyślał, czy nie lepiej by było hodować zamiast anakond takie właśnie urocze stworzenie. Żmija koralowa zajmowałaby mniej miejsca i mniej jadła, a jej jad można by sprzedawać wytwórniom surowic czy innych leków... i zarabiać na tym... Tylko mama... No cóż, mama nie musiałaby wiedzieć, że to urocze kolorowe zwierzątko jest tak potwornie jadowite. Co prawda cena takiego węża przerasta wielokrotnie możliwości Markowej kieszeni, ale chyba będzie można rozłożyć należność na raty. Na pewno piszą coś o tym w prospektach reklamowych, których stos leży przy bufecie. Marek sięgnął po jeden egzemplarz i chciał schować do plastikowej torby od Mustafona, lecz stwierdził, że nie ma jej przy sobie. Musiał ją chyba zostawić przy stoliku. Ruszył niespokojnie w jego stronę i odetchnął. Czerwona wielka reklamówka z napisem MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI leżała spokojnie na krzeselku...

W tym momencie zadzwonił telefon i rozległ się jedwabisty, miękki głos Liliiany:

– Pan Marek Piegus junior proszony jest do aparatu.

Marek szybko wsunął resztę lodów, porwał reklamówkę i podbiegł do lady. W słuchawce usłyszał zachrypły, wystraszony głos.



⁸ Żmija koralowa – poprawnie: wąż koralowy, koralówka arlekin; bardzo jadowity wąż występujący na terenie USA i Meksyku, jego jad jest śmiertelny dla człowieka.

- To ja, Sylwek, przepraszam za zwłokę. Masz forszę?
 – Tak – odparł Marek.
 – To dobrze, tylko mała komplikacja. Balerina zadała mi dodatkowe ćwiczenia i zamknęła na klucz w pokoju... Cholerna megiera⁹!...
 – Jak ty się wyrażasz o swojej matce? – zgorszył się Marek.
 – To macocha, nie matka. Powiedziałem jej, że mam kupca na duszyciele i muszę skoczyć do Salamandry, ale ona nie uwierzyła. Będziesz musiał tu przyjść we własnej osobie i pokazać forszę, dopiero wtedy uwierzy, że jej nie nabieramy. Tylko pośpiesz się, bo za kwadrans wychodzi...
 – No, nie wiem, czy zdążę – rzekł Marek. – O piątej mam być w domu. – Nie przedłużając rozmowy, odłożył słuchawkę i szybko zajrzał do prospektu. Cena koralowej żmii wynosiła ponad dziesięć tysięcy... i nigdzie nie było napisane* o możliwości rozłożenia jej na raty. W tej sytuacji realne było tylko kupno anakond. Tak, to była jedyna możliwość i postanowił się jej trzymać.
 Dziesięć minut później stanął przed drzwiami mieszkania Baruszyńskich w bloku przy ulicy Baleya i nacisnął guzik dzwonka. Z głębi mieszkania dobiegał żałosny śpiew prezesa Barucha:
 – Sol mi! Sol mi! Fa mi! Fa mi! Do do! Re re! Laaa-do! Si-ii-do!

W judaszu ukazało się czujne oko z długimi czarnymi rzęsami.

– Widzę cię – usłyszał ostry alt kobiety. – Nie kryj się, nie kucaj!

– Wcale nie kucam – oburzył się Marek.

– Nie zasłaniaj twarzy! Zostałeś rozpoznany – oznajmił głos. – Ty jesteś Marek Piegus, poznaję cię po piegach, ty jesteś tym zwyrodnialcem, co zdemoralizował naszego Sylka. To ty namawiasz go do trzymania obrzydliwych stworzeń, przez ciebie nie mógł rozwinąć swoich talentów wokalnych...

– Ależ, proszę pani... – chciał przerwać Marek, ale pani Baruszyńska numer dwa mu nie dała.

– Zabraniam ci pokazywać się tutaj! Pewnie znów przyniosłeś Sylkowi padalca albo coś równie obrzydliwego.

⁹ *Megiera* – przyn. złośliwa, kótłliwa, tyranizująca innych kobieta.

* W książce uwspółcześniono pisownię imiastowów do obowiązującej oraz poprawiono niektóre formy gramatyczne. (dop. red.)



– Nic mu nie przyniosłem! – odparł Marek, starając się opanować nerwy. – Nie tylko nic nie przyniosłem, ale, przeciwnie, przyszedłem coś mu zabrać, a raczej coś kupić.

– Coś?!

– Któres z tych obrzydliwych zwierząt, jak pani mówi. Zgadzam się z panią, że Sylek ma ich chyba za dużo.

Spokojny ton Marka zrobił pewne wrażenie na Balerinie.

– Co cię interesuje na przykład?

– Anakondy.

– Anakondy?! – wykrzyknęła Balerina. – Myślisz o tych strasznych dusicielach?

– Tak, właśnie o nich. Pani ich nie lubi, a ja akurat mam na nie chętkę...

Chyba niezgrabnie się wyraził i Balerina zaraz to wykorzystała.

– Ty masz chętkę, ale czy inni w twoim domu też?

– Nie... nie bardzo rozumiem – zmieszał się Marek.

– Pytam, czy twoja matka wie, czym ją chcesz uszczęśliwić? Czy jest świadoma twoich obłądnych pomysłów? Zaraz do niej zadzwonię i zapytam. Jaki macie numer?

– Nasz telefon jeszcze nie jest podłączony – zętał Marek.

– Naprawdę? Sprawdzimy w biurze numerów. Wejdz na chwilę – otworzyła drzwi. – A ty ćwicz, nie przerywaj! – zganiła prezesa Barucha, który wystraszony pojawił się w przedpokoju i dawał Markowi jakieś rozpaczliwe niezrozumiałe znaki.

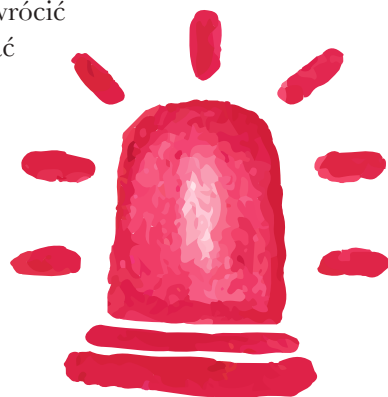
Marek pojął, że sprawy źle stoją.

– To ja już sobie pójdę... nie przeszkadzam, porozmawiamy kiedy indziej – oznajmił, starając się, by jego rejterada¹⁰ nie wyglądała na tchórzliwą ucieczkę.

– Zaczekaj – powiedziała Balerina już łagodnie, z dziwnym uśmiechem na dużych czerwonych ustach. – Napijesz się herbaty i pogawędzimy. Czy nikt ci nie mówił, że masz niezwykły tembr głosu? Powinieneś ćwiczyć... Zrobię ci próbę solmizacji. Sprawdzę twój słuch.

Ale Marek nie miał najmniejszej ochoty pakować się w ręce tej niebezpiecznej kobiety i przytomnie dał dyla. Zwolnił dopiero na dole schodów, gdy zobaczył, że nikt go nie ściga. Spojrzał na zegarek i przestraszył się. Była za dziesięć piąta. W żaden sposób nie zdąży na piątą wrócić do domu... Czy ci ludzie od alarmu zechcą zaczekać pod drzwiami? Popędził na najbliższy przystanek, ale dwie sekundy za późno. Czerwony autobus właśnie ruszał. Marek bezradnie odprowadził go wzrokiem.

¹⁰ Rejterada – wycofanie się, rezygnacja z jakichś planów.



Za to gdzieś blisko odezwał się jęk syreny. Zza rogu ulicy wyłonił się długi biało-niebiesko-pomarańczowy wóz z pokracznym, czarnym napisem „Ruatonim”. Marek wytrzeszczył oczy. Nigdy jeszcze nie widział podobnego wehikułu. Z przodu wyglądał jak ultranowoczesny ambulans służby zdrowia, a z tyłu – jak wóz strażacki, ale dość nietypowy. Prócz złożonych drabin i zwiniętych węży sikawek widać było inny dziwny sprzęt niewiadomego przeznaczenia, a spod pokrowców sterczały groźnie szare lufy. Czyżby armatek wodnych? Zdziwienie Marka wzrosło do czwartej potęgi, gdy ten niezwykle wehikuł zatrzymał się tuż przed nim. Syrena umilkła, drzwi otworzyły się.

W środku w dwu rzędach siedzieli strażacy, wszyscy ubrani w pomarańczowe żaroodporne hełmy i uniformy. I wszyscy w grubych, różowych, zapewne ochronnych okularach. Z wozu wychylił się zwalisty strażak ze złotymi gwiazdkami na epoletach i hełmie. Wyglądał na komendanta sekcji. Miał kwadratową szczękę, oczy zaśnaniały mu takie jak u innych, podobne do gogli, wielkie okulary o grubych szklach. Jego brzydką, wyraźnie zdeformowaną twarz szpeciły dodatkowo liczne blizny i szramy.

– Cześć, zuchu! – powiedział do Marka. – Co cię tak zamurowało? Nie podobna ci się moja twarz? Faktycznie, nosi pewne pamiątki po naszych bojowych akcjach. Wielokroć była zszywana, łatana i cerowana. Dlatego nazywają mnie Fastryga.

– Fastryga? – skrzywił się Marek. – Ja bym pana nazwał **Superstrażakiem**.

– Dziękuję. Pochlebiasz mi, chłopcze – uśmiechnął się Fastryga. – Sympatyczny małolat z ciebie. Sądzę, że nie odmówisz nam informacji. Czy nie widziałeś w okolicy biegnącego śmiesznego grubasa z parasolem?

– A bo co? – odpowiedział Marek pytaniem na pytanie. Na wszelki wypadek postanowił być ostrożny w wypowiedziach.

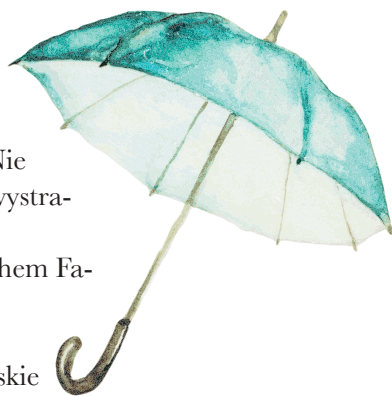
– To niebezpieczny piroman – wyjaśnił Fastryga. – Podpalacz terrorysta. Ścigamy go.

– Te... terrorysta? – Marek ściągnął brwi. – Nie zachowywał się jak terrorysta, raczej jak zbieg... wystraszony zbieg!

– Więc jednak widziałeś go! – zauważył z uśmiechem Fastryga.

– Tak, ale nie miałem pojęcia, że to terrorysta.

– On się świetnie maskuje i przybiera kabotyńskie pozy¹¹. Ale to groźny przestępca.



¹¹ *Kabotyńskie pozy* – zachowanie obliczone na wywołanie konkretnego efektu.

– Nie wyglądał na groźnego, zwłaszcza kiedy zdjął brodę i perukę... raczej na bardzo zmęczonego – stwierdził Marek.

– Wygląd myli, już powiedziałem ci, chłopcze – rzekł nieco zniecierpliwiony Fastryga. – Ja też wyglądam na zbója i zabijakę, prawda? A jestem gołębiego serca – zarechotał. – Wszyscy koledzy potwierdzą.

Strażacy pokiwali głowami i też zarechotali.

– Miałeś szczęście – ciągnął Superstrażak – że wyszedłeś cało z tego spotkania. On ma na sumieniu już wielu chłopców w twoim wieku. Wkłada im do teczek bomby w kształcie... puzderek.

– Nie może być! Nie wierzę! – Marek spojrzał na Fastrygę nieufnie.

– A jednak. Gdybyś zechciał podjechać z nami do naszej komendy, pokazalibyśmy ci ich zdjęcia, całą bogatą dokumentację. Obawiamy się, że dzisiaj znów podłoży bombę, popełni morderstwo lub podpalenie, albo jedno i drugie... Być może już to zrobił i szykuje się do następnego zamachu, ponieważ stosuje zasadę serii. Bardzo by nam pomogło, gdybyś zechciał powtórzyć, o czym z tobą rozmawiał, bo mogły mu się wypsnąć jakieś słowa, które zdradzą jego plany...

Marek wiercił się w miejscu niespokojnie.

– Chciałbym panom pomóc, ale bardzo się śpieszę.

– Dokąd, zuchu?

– Do domu. O piątę mają przyjść instalatorzy i muszę być na miejscu.

– A gdzie mieszkasz?

– W bloku, Archiwistów jedenaście.

– Nie ma sprawy. Wskakuj, podwieziemy cię!

Marek skwapliwie skorzystał z propozycji i usadowił się w wozie tuż przy drzwiach, koło Fastrygi.

– A teraz opowiedz dokładnie, co ci się przydarzyło z tym osobnikiem – rzekł Fastryga.

– Daskoczył do mnie na ulicy pod blokiem – odparł Marek. – Nie mam pojęcia, dlaczego zaczepił akurat mnie.

– To proste jak włos Eskimosa – rzekł Fastryga. – Zaczepił cię z powodu twoich piegów.

Rozległ się chóralny śmiech w tyle wozu. To znów jak na komendę śmiali się wszyscy strażacy.

Marek przygryzł wargi, chciał powiedzieć tym nietaktownym gburom coś przykrego, ale opanował się i zapytał, siląc się na obojętny ton:

– Co z tym wspólnego mają piegi?

– W jego chorym umyśle piegi i rude włosy kojarzą mu się z ogniem, dlatego zawsze zaczepia piegowatych i rudych, zagaduje ich chytrze, mami



miłymi słówkami i prezencikami i próbuje wciągnąć do swojej brzydkiej zabawy – wyjaśnił Superstrażak. – Czy ciebie też mamit?

– Tak, mamit mnie – odparł Marek. – Powiedział, że nazywa się Mustafon Idiosynkrazy, jęczał i udawał chorego.

– I może podarował ci coś? – dopytywał Fastryga.

– Nie, nic.

– Na pewno nic? Przypomnij sobie.

W kieszeni Superstrażaka zapiszczał telefon. Fastryga podniósł go do ucha.

– Tak... zgadza się – powiedział. – To na pewno ten chłopic. Zakończymy aferę szybciej niż myśleliśmy. Postępujcie dalej według instrukcji! – Fastryga odłożył telefon i uśmiechnął się swą pokiereszowaną gębą do Marka.

– A jednak nie powiedziałeś nam prawdy, zuch. Czyżbyś nie miał do nas zaufania? Zrobiłeś mi dużą przykrość. Nasz agent widział, jak Mustafon dał ci reklamówkę, tę, którą chowasz pod fotelik.

Marek zaczerwienił się.

– Och, to tylko zwykła reklamówka – usiłował bagatelizować.

– A co jest w tej reklamówce?

– Nic takiego... – Markowi nie podobano się ciekawość strażaka i postanowił nie mówić mu prawdy.

– Ale to dziwne – ciągnął Fastryga. – Nieznajomy daje ci na ulicy torbę... Czemu to zrobić?

– Bo... bo go poprosiłem – wykrztusił Marek. – Potrzebna mi była taka duża reklamówka do... do spakowania węży – opowiedział o anakondach, które zamierzał kupić.

– Do spakowania węży? – zaśmiał się Fastryga. – Co ty mi za michałki¹² pleciesz, zuch? Nie mogłeś wymyślić czegoś lepszego? Źle robisz, chłopczyku, ukrywając prawdę przede mną. Wiem, że mogą cię denerwować moje pytania, ale tu chodzi o twoje bezpieczeństwo. Już ci mówiłem i jeszcze raz powtarzam, Mustafon lubi wręczać prezenty w ładnym opakowaniu albo prosić o przechowanie jakichś niby cennych szkatułek pod pretekstem, że jest ścigany, więc jeśli tak się stało w twoim przypadku, powiedz, bo to, co ci dał, to może być... to nawet na pewno jest... **BOMBA!**

– Bomba?! W reklamówce? – słowa Fastrygi zrobiły pewne wrażenie na Marku.

– Podaj mi ją ostrożnie – rzekł Fastryga – zaraz sprawdzimy... tylko pamiętaj, pomału, bez gwałtownych ruchów!

– Tak jest, proszę pana – Marek z lękiem podał mu reklamówkę.

Fastryga zajrzał do niej i... osłupiał.

¹² Michałki – bzdury, głupie i oczywiste kłamstwa.

– A to co?! – zdumiony wyciągnął z torby... składany cylinder „szapoklak”, a potem – małą czarną pałeczkę, krążek zwiniętej taśmy koloru cielistego, dwa czarne słoiczki, imitację pistoletu i kalkulatora kieszonkowy.

Nie mniej zdumiony Marek przetarł oczy i próbował zrozumieć, co się stało.

– No i gdzie ta bomba? – wybełkotał. – Mó... mówiłem panu, że tam nie ma nic takiego...

Fastryga, wciąż nie dowierzając, odkręcił wieczko słoiczka, wsadził do środka palec i cofnął go ze wstrętem.

– To jakieś ohydne robaki! Coś tu poszachrował¹³? – krzyknął nagle do Marka.

– Ja... poszachrowałem?! Co pan! – oburzył się Marek.

– Ty, mały spryciarzu, to nie ta torba, którą dostałeś od grubego. Zdążyłeś już się jej pozbyć! Mów, co z nią zrobisz? Komu dałeś puzderko?

– Skąd pan wie, że tam było jakieś puzderko?

– Wiem więcej niż sobie myślisz, koleżko. Wyglądałeś mi na szczerego zucha... uczciwego harcerza, ale coś mi się widzi, że lepszy krętacz z ciebie. To spotkanie z Mustafonem Idiosynkrazym to nie był czysty przypadek, ty byłeś umówiony...

– Wcale nie! – zaprzeczył gorąco Marek.

– Ejże, chłopcze – Fastryga przyglądał mu się podejrzliwie – czy ty od początku nie robisz balona z dobrego strażaka Fastrygi?

– Czemu miałbym robić? Pan naprawdę myśli, że ja...

– Myślę, że to puzderko po prostu komuś dalej przekazałeś, a teraz chcesz mącić nam w głowie, ale nie powinieneś krzyć Mustafona, to zły człowiek... A może to twój wujek?!

– Mustafon?! Mój wujek?!

– Albo współnik!

– Co panu przyszło do głowy?!

– To mów, co zrobisz z puzderkiem!

– Ja... ja naprawdę nic nie wiem. I nie obchodziło mnie, co jest w tej reklamówce. Cały czas myślałem tylko, żeby się nie spóźnić na spotkanie z Baruszyńskim, a jak pan mi nie wierzy, to trudno... Dziękuję za podwiezienie i wynoszę się – Marek rozgniewał się i chciał wstać, ale Fastryga przytrzymał go i poklepał pojednawczo po ramieniu.

– No, no, dobrze... przypuścimy, że ktoś ci zamienił reklamówkę, a ty nie zauważyłeś, ale chyba wiesz, co było w tej kasetce, albo, powiedzmy, w tym puzderku.



¹³ Szachrować – oszukiwać.



– Skąd mogę wiedzieć? – zdziwił się Marek.

– Chłopcy w twoim wieku lubią zaglądać do tajemniczych przesyłek. Na pewno ją otworzyłeś z samej ciekawości i zerknąłeś, co tam jest w środku. No, nie bój się i przyznaj, to przecież żadna zbrodnia.

– Nigdy nie zaglądam do cudzych przesyłek, listów i kasetek, to nieładnie. Jak pan może posądzać mnie o takie rzeczy? Wsiadłam! Nie podoba mi się ta rozmowa – Marek wzburzony zerwał się z miejsca. – O Boże, co to?! Gdzie my jesteśmy?! – spojrzał przez szybę. – Proszę zatrzymać! Minęliśmy mój blok...

– Minęliśmy? Niemożliwe – Fastryga udał zdumienie.

– Pan mnie umyślnie zagadał!

– Ja?! Słyszycie, co on mówi? – Fastryga zwrócił się do siedzących w dwu rzędach strażaków. – Czy ja zagadywałem tego zucha?

Strażacy kolejny raz roześmiali się jak na komendę bardzo brzydkim rechotliwym śmiechem jak chór żab. Tylko jeden z nich, wielki muskularny strażak o gorylej budowie, nie roześmiał się, natomiast wy dobył dwie czarne rękawiczki, skropił je obficie cieczą z małej buteleczki i zaczął starannie przecierać chusteczką. Ostro zapach benzyny rozszedł się po wozie. Ten widok i ten zapach coś przypomniał Markowi, coś mało przyjemnego, bo nagle ogarnął go dziwny niepokój... po prostu zaczął się bać.

– Dokąd mnie pan wiezie?! – wykrztusił przerażony. – Ja... ja nie chcę... ja wsiadam! Proszę stanąć!

– To niemożliwe – Fastryga uśmiechnął się zimno. – Właśnie dostaliśmy przez radiotelefon wiadomość: nowy akt terroru! Zlokalizowano Mustafona. Wtargnął do kawiarni Baobab na Banacha i podłożył bombę zapalającą ukrytą w bukietcie kwiatów. Wybuchła, gdy wsadzano ją do wazonu. Ogólna panika i pożar! Pędzimy tam, nie wolno nam stracić ani jednej chwili! Tym bardziej, że zaraz przyjedzie telewizja i będą nas pokazywać w akcji.

– Ale ja umówiłem się w bardzo ważnej sprawie na piątą, ja nie mogę... – jęknął Marek.

– Zdązysz – przerwał Fastryga – uwiniemy się błyskawicznie! Stosujemy nowoczesne super-hiper metody i technikę dwudziestego pierwszego stulecia! A w razie najmniejszego spóźnienia dostaniesz od nas zaświadczenie, że znalazłeś się w stanie wyższej konieczności i musiałeś uczestniczyć w akcji przeciwożniowej.

Marek uspokoił się nieco.

– Pan żartuje, naprawdę napisałby pan?

– Oczywiście.

– I mógłbym z wami gasić prawdziwy pożar?

– Jeśli chciałbyś...

– O, tak! – zapalił się Marek i od razu pomyślał, jaką furorę zrobiłoby to w szkole. – Czy mógłbym sikać w ogień tą dużą sikawką?

– Jeśli ci to sprawi przyjemność...

– I strzelać z armatki wodnej.

– Jeśli potrafisz, to proszę bardzo...

– I będę pokazany w telewizji?

– Jeśli ci tak zależy! Ale wszystko pod warunkiem, że będziesz grzeczny i zaraz powiesz dobremu wujkowi Fastrydze, co naprawdę zrobiłeś z tym cholernym puzderkiem.

– O, rany, pan znów to samo, nudno się robi!

– Posłuchaj, chłopcze, to nie zabawa, ty chyba wciąż nie zdajesz sobie sprawy, w co się wplątałeś, o jakie otarłeś się niebezpieczeństwo. To cud, że jeszcze żyjesz!

– Myśli pan, że Mustafon jest aż tak groźny?

– Śmiertelnie groźny! Jak bestia w dżungli, jak tropikalny gad...

– Jak boa dusiciel? Jak anakonda? – zainteresował się Marek.

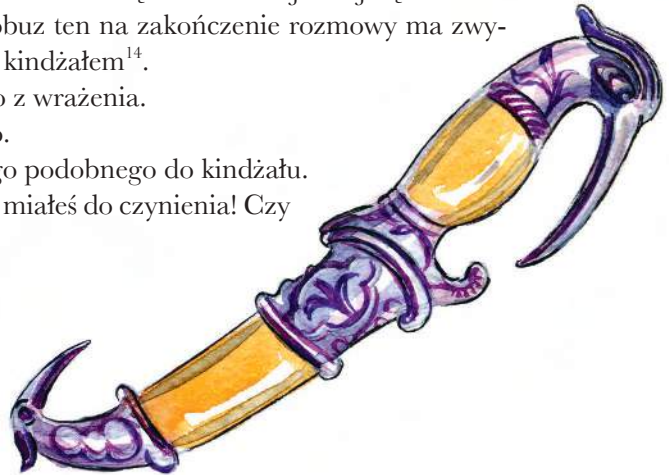
– Rzekłbym, jak jadowita czarna mamba – sprecyzował Fastryga. – Do tej pory nikt, kto otarł się o Mustafona i wdał się z nim w najmniejszą konwersację, nie uszedł cało, ponieważ łobuz ten na zakończenie rozmowy ma zwyczaj traktować swojego rozmówcę kindżałem¹⁴.

– Kindżałem?! – Marka zatkało z wrażenia.

– Dokładnie pod czwarte zebro.

– Nie widziałem u niego niczego podobnego do kindżału.

– Nosi go w rękawie. Oto z kim miałeś do czynienia! Czy teraz powiesz nam całą prawdę?



¹⁴ Kindztał – rodzaj długiego noża.

– Już powiedziałem – rozżościł się Marek. – Niech pan mi da spokój, bo mam tego po same dziurki w nosie.

– Znakomicie, jak chcesz, zuchu – Fastryga uśmiechnął się kwaśno i sięgnął po radiotelefon. Przez chwilę rozmawiał z kimś półgłosem, po czym nacisnął guziczek przy swoim fotelu. Syrena strażacka dostała czkawki i umilkła, włączył się natomiast urywany sygnał dźwiękowy karetki pogotowia.

Na ten sygnał strażacy powstali z miejsc, ściągnęli pomarańczowe hełmy tudzież uniformy i wtedy okazało się, że każdy z nich miał przy pasie kaburę z pistoletem. Wydostali spod ławek plastikowe torby, wyjęli z nich białe fartuchy oraz czepki służby zdrowia i zaczęli sprawnie się przebierać...

Marek patrzył na to wszystko z rosnącym osłupieniem.

– Co tu się dzieje? – wybełkotał.

– Spoko, chłopcze, to tylko mała zmiana planu – rzekł Fastryga. – Przed minutką otrzymałem wiadomość,

że było przekłamanie na linii. Zniekształcono wiadomość o kawiarni Baobab z winy naszego agenta, który ma pypcia na języku. W rzeczywistości podłożono tam nie bombę, lecz bombonierkę, i nie wybuchło, tylko nadmiernie spuchło... kucharzowi ciasto drożdżowe.

Pożaru w Baobabie więc nie ma i dziś chyba nie będzie, bo Mustafona widziano już w Izabelinie. Przeniknął do Fundacji Zdrowia Alberta, podając się za profesora, specjalistę od leczenia izotopem kobaltu, i demonstrując tak zwaną bombę kobaltową. Nietrudno się domyślić, że nie była to żadna bomba kobaltowa, lecz terrorystyczna bomba wybuchowa...

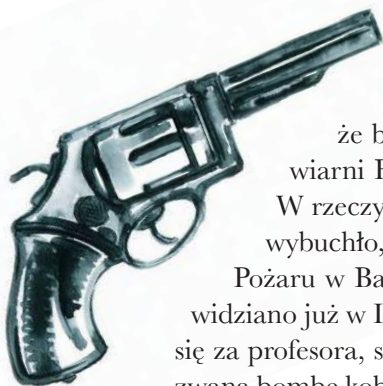
– Rozumiem, pożaru nie będzie – rzekł markotnie Marek – ale po co oni wdzwiewają białe fartuchy? – wskazał na strażaków.

– To mała transformacja, chłopcze. Pora, bym ci wyjaśnił pewne rzeczy. Nowoczesna ekonomia pracy wymaga wykorzystania czasu i energii tych dzielnych ludzi w systemie non-stop! Czasy tradycyjnych wąskoprofesjonalnych strażaków skończyły się. „Ruatonim” jest nowym sprywatyzowanym przedsiębiorstwem o szerokim wachlarzu specjalności. Wchodzimy w skład Agencji Uniwersalnej Ochrony „Agguno”. Walczymy nie tylko z ogniem, lecz z każdym innym żywiołem, z każdym zagrożeniem życia, zdrowia i majątku. Jak powiedziałem, zanoszę się na nowe kłopoty z Mustafonem. Wzywają nas do Izabelina. Jedziemy tam pod sztandarem służby zdrowia, zaskoczymy Mustafona, obezwładnimy i... udzielimy mu fachowej pomocy medycznej.

Fastryga uśmiechnął się krzywo swoją zszywaną gębą.

– Wy? Pomocy medycznej?! – Marek spojrział na niego nieufnie.

– Świadczymy pełny asortyment usług w tym zakresie, także usługi psychiatryczne tudzież chirurgiczne, łącznie z przeszczepami serca i wątroby. Przy sposobności robimy gratis pedicure, co bardzo sobie chwalamy nasze klientki.



Podobnie jak nasze masaże, mamy kadre najlepszych masażystów. Lecz nasza główna specjalność to operacje plastyczne, a ostatnio również małe dyskretne zabiegi na mózgu dla mężów stanu. Ceny umiarkowane, dla posłów pięćdziesiąt procent zniżki po okazaniu legitymacji. Gwarantujemy pacjentom po zabiegu błyskotliwość wystąpień publicznych, swadę i elokwencję, celność polemiczną, zabójcze dla adwersarzy riposty¹⁵, łatwość podejmowania optymalnych decyzji, zdolność wnikliwej oceny sytuacji...

– Nie wierzę! – mruknął zniecierpliwiony Marek.

– Ależ tak, chłopcze, mamy rewelacyjne wyniki! W dziewięćdziesięciu procentach uzyskujemy znaczącą poprawę ilorazu inteligencji, ty też mógłbyś sobie poprawić.

– Ja?

– Zawieziemy cię na zabieg gratis.

– Nie, dziękuję! – przestraszył się Marek. – Wystarczy mi to, co mam. Mój przyjaciel, pan Anatol Surma, sakso-wiolonczelista, mówi, że z nadmiarem inteligencji można mieć kłopoty.

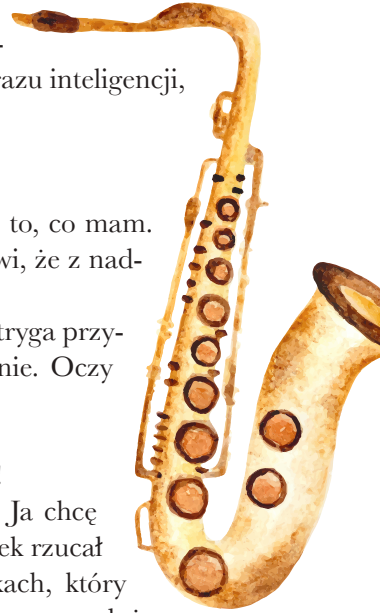
– W każdym razie powinieneś dać się zbadać, zuchu – Fastryga przyglądał się Markowi krytycznie. – Wyglądasz nienadzwyczajnie. Oczy podkrążone, twarz wymoczka, ty chyba chory jesteś, dziecko.

– Ja?

– Nie wiem, może mi się tylko zdaje, ale warto cię zbadać!

– Mnie nic nie jest, ciocia Dora niedawno mnie badała. Ja chcę wysiąść, nie jadę dalej, a pan mnie umyślnie zagaduje! – Marek rzucał niespokojne spojrzenia na olbrzyma w czarnych rękawiczkach, który właśnie wdziewał biały fartuch. Na jego lewej ręce zwracał uwagę duży marynarski tatuaż. Kogo ten człowiek przypominał? – Marek wyteżył gorączkowo pamięć. Te czarne rękawiczki, zapach benzyny, goryla budowa i ten tatuaż! I nagle przypomniał sobie. Tak, o pomyłce nie może być mowy. **To Bosmann! Teofil Bosmann!** Poznał tego draba w dramatycznych okolicznościach, gdy był porwany i więziony przez bandę Alberta Flaszka. Od razu przed oczyma stanęła mu jak żywa cała galeria przestępców, z którymi miał wtedy do czynienia... Wińczyszław Nieszczególny, osobnik o końskiej twarzy, najbardziej przebiegły, najrzęczniejszy opryszek świata podziemnego stolicy, elegancki pachnący jaśminem doktor Bogumił Kadryll, niezrównany kieszonkowiec, Chryzostom Cherławy, złoczyńca nikczemnej postury obdarzony „siedmiorgiem talentów” i takąż liczbą potomstwa. I wreszcie on, obecny w tym wozie zbrodniarz-atleta zwany Teosiem Dusicielem albo Czarnopalcym! Jego obecność nie może wróżyć nic dobrego! Dreszcz przeszedł Marka po skórze.

¹⁵ Adwersarz – przeciwnik; riposta – celna, trafna i błyskawiczna odpowiedź na czyjeś stwierdzenie.



– Co ci jest? Dziwnie zbladłeś, zuchu – zagadnął go rozbawiony Fastryga. – To te dzisiejsze przeżycia... za dużo wrażeń, a system nerwowy słaby. Mały zastrzyk dobrze ci zrobi.

– Co?! Zastrzyk?! – Marek zerwał się przerażony.

– Siadaj! – Fastryga pchnął go na fotel. – Bądź mężczyzną! Ten zabieg pomoże ci także na pamięć, która wyraźnie szwankuje! No, nie bój się, taki duży chłopic... Nic nie będzie bolało. Pan Teofil ma wprawę i delikatną rączkę.

– Teofil?! – Marek zdrętwiał do reszty. – Nie!!! Żadnych zastrzyków! Nie chcę, nie godzę się! Pan żartuje...

Ale to nie były żarty. Marek zobaczył, że Bosmann zaczął napełniać strzykawkę ciecżą z żółtej fiołki. Sprawa była jasna, Marek nie miał już wątpliwości. Wpadł w ręce niebezpiecznych gangsterów. Cała historia ze strażakami i Mustafonem Idiosynkrazym – wszystko, co napłótł mu Fastryga, było bajką, wielką zgrywą, a naprawdę cały czas chodziło tylko o jedno... chodziło tylko o to cholerne puzdro.

Co robić teraz? Uciekać... uciekać stąd za wszelką cenę, póki jeszcze jest czas. Ale jak? Przecież nie puszczą go, nie pozwolą się wymknąć... Chyba tylko cud mógłby go ocalić. „Boże – pomyślał rozpaczliwie – żebym choć raz zamiast pecha miał szczęście!” Ale czy to mądre czekać bezczynnie na szczęście? Kuzyn Alek, znany sportowiec, mówi: „szczęście lubi, żeby mu pomóc”. Akurat przejeżdżali koło bazaru na Banacha. Wóz zwolnił, bo na Grójeckiej jezdnia była zwiężona. Prowadzono roboty drogowe. Bosmann ruszył do Marka z napełnioną strzykawką...

„Teraz albo nigdy – pomyślał Marek – muszę zaryzykować!”

– **Kadryll!** – wykrztusił głośno przerażonym głosem, patrząc w okno.

– Co ty bredzisz? – Fastryga zmarszczył brwi, a Czarnopalcy zastygł w miejscu.

– Bo... Bogumił Kadryll! O... i Wieńczysław Nieszczególny! – bełkotał Marek.

– Gdzie? – zdenerwował się Bosmann.

– Tam! Śledzą nas! – Marek wskazał palcem na słup uliczny, a gdy obaj złoczyńcy odwrócili głowy, pchnął z całej siły Bosmanna na Fastrygę i wyskoczył z wozu przy akompaniamencie straszliwego zwierzęcego ryku. To wył z bólu Fastryga, bo Czarnopalcy, waląc się na niego, wbił mu w ucho igłę strzykawkę.

Lawirując między uwięzłymi w korku samochodami, Marek co tchu w pierśiach pognął na pobliski przystanek. Z ambulansu wyskoczyli ludzie „Ruatonimu”, ale nie zdołali złapać małego zbiega, bo właśnie zniknął w drzwiach odjeżdżającego czerwonego autobusu i zagrał im szyderczo na nosie.

– Przekłety szczył! – jęknął Fastryga, trzymając się za przekłute ucho. – Czekaj, dopadnę cię jeszcze, smarkaczu!



Rozdział III

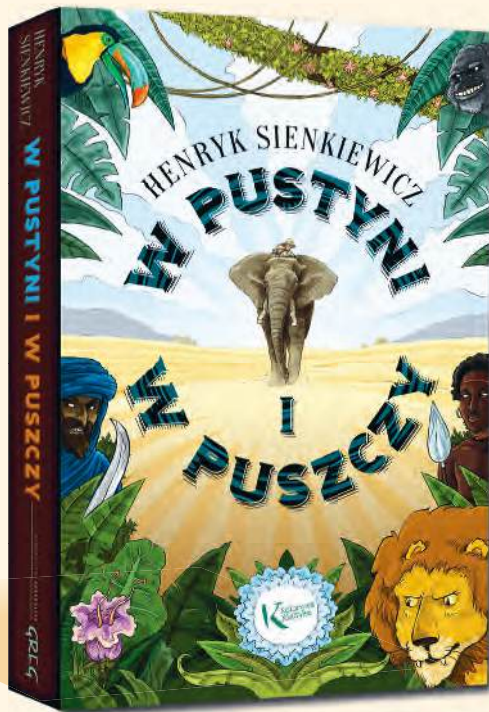
Tajemnica puzdra z drzewa sandałowego. Niezwykłe praktyki agencji ochrony „Minotaur”. Głośna Grupa przed Wyzwaniem. Przyczynek do domowej hodowli dusicieli. Stryj Dionizy i jego kufer

Ta pachnąca szkatułka z drzewa sandałowego musiała być naprawdę bardzo ważna i cenna, skoro draby z „Ruatonimu” uruchomiły tak wielką akcję, żeby ją zdobyć – myślał Marek, wysiadając z autobusu na trzecim przystanku. – Nie wiadomo, kim jest Mustafon Idiosynkrazy, czy to w ogóle jego prawdziwe nazwisko. Może to również przestępca, rabuś niewiele lepszy od Fastrygi czy Bosmanna. Ale równie możliwe i prawdopodobne, że to jakiś facet ze służb specjalnych, agent „na usługach sprawiedliwości”, jak sam to po prostu określił. W każdym razie zaufał Markowi, powierzył mu ten zagadkowy depozyt i jakoś nieładnie byłoby stracić go w taki głupi sposób... Trzeba zrobić wszystko, żeby go odzyskać. Dużo zależy od tego, kto zamienił torby! Czy zrobił to umyślnie, czy niechcący, przez nieuwagę.



Spis treści

Rozdział I. <i>Na początku było niepostuszeństwo pospolite. Marek kupuje anakondę. Mustafon Idiosynkrazy</i>	5
Rozdział II. <i>Salamandra i węże. Superstrażak Fastryga. Kto zamienił czerwone reklamówki? W szponach „Ruatonimu”</i>	15
Rozdział III. <i>Tajemnica pudra z drzewa sandałowego. Niezwykłe praktyki agencji ochrony „Minotaur”. Głośna Grupa przed Wyzwaniem. Przyczynek do domowej hodowli dusicieli. Stryj Dionizy i jego kufer</i>	29
Rozdział IV. <i>Drugie oblicze Mustafona Idiosynkrazego. Detektyw Kivass rozpoczyna śledztwo</i>	76
Rozdział V. <i>Ciotka Dora w „Phoeniksie”. Albert Flasz przyjmuje meldunki</i>	95
Rozdział VI. <i>Albert Flasz ma kłopoty. Kompromitacja Lala i Gargamela. Jak stryj Dionizy wstąpił do gangu</i>	107
Rozdział VII. <i>Przechowalnia dzieci. Hippiiczna przygoda Marka. Gdzie podział się Marek?</i>	124
Rozdział VIII. <i>Detektyw Kivass rozpoczyna śledztwo. Tajemnica Centrum „Phoenix and Bowie”</i>	136
Rozdział IX. <i>Gdzie się obudził Marek? Detektyw Kivass oddaje brudasy do prania. Żdemaskowanie</i>	146
Rozdział X. <i>Straszny sen Marka. W rękach zbrodniczych chirurgów. Bąbłowiec ryjkowaty. Czy można liczyć na Chryzostoma Cherlawego? Lody pistacjowe, czyli ważny trop</i>	165
Rozdział XI. <i>Nowy zamach na Marka. Kivass organizuje akcję</i>	187
Rozdział XII. <i>Tajemnice „Fundacji Alberta”. Bosmann kontra Dionizy</i>	196
Rozdział XIII. <i>Dionizy rusza do ataku. Zbrodniczy ekschirurg</i>	206
Rozdział XIV. <i>Ucieczka. Panu Radżaputrze nareszcie udaje się sztuka. Czy to naprawdę już koniec?</i>	218



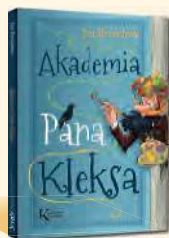
Tę książkę powinien znać każdy Polak! Od pokoleń przygody Stasia i Nel zagubionych na bezdrożach Afryki fascynują, ciekawią, wzruszają i sprawiają, że nie można oderwać się od lektury.

Czternastoletni chłopiec i ośmioletnia dziewczynka uciekają z rąk porywaczy i szukają drogi do domu pośród groźnej afrykańskiej przyrody – niesprzyjającego klimatu, agresywnych zwierząt, nie zawsze pokojowo nastawionych tubylców, śmiertelnych chorób i wielu innych niebezpieczeństw. Czy wyjdą z tego cało i jak tego dokonają?

Wydanie z przepięknymi rysunkami utalentowanego ilustratora Mikołaja Kamlera jak żadne inne oddaje atmosferę książki i groźne piękno Afryki. Zapraszamy do lektury!

Skompletuj całą serię

K Kolorowa
Klasyka



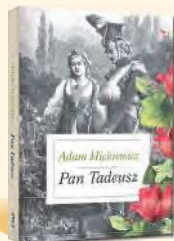
**AKADEMIA
PANA KLEKSA**
Jan Brzechwa



**PODRÓŻE
PANA KLEKSA**
Jan Brzechwa



**TRYUMF
PANA KLEKSA**
Jan Brzechwa



PAN TADEUSZ
Adam Mickiewicz



ROMEO I JULIA
William Szekspir



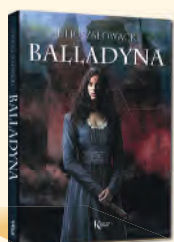
OPOWIEŚĆ WIGILIJNA
Karol Dickens



GRANICA
Zofia Nałkowska



QUO VADIS
Henryk Sienkiewicz



BALLADYNA
Juliusz Słowacki



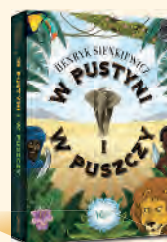
LALKA
Bolesław Prus



ZBRODNIA I KARA
Fiodor Dostojewski



**TRZEJ
MUSZKIETEROWIE**
Aleksander Dumas



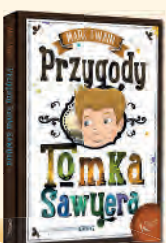
**W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
Henryk Sienkiewicz



**TAJEMNICZY
OGRÓD**
Frances Hodgson
Burnett



**W 80 DNI
DOOKOŁA ŚWIATA**
Juliusz Verne



**PRZYGODY
TOMKA SAWYERA**
Mark Twain



LASSIE, WRÓĆ!
Eric Knight



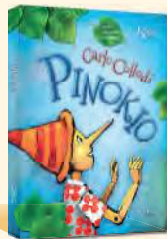
**ANIA Z ZIELENEGO
WZGÓRZA**
Lucy Maud Montgomery



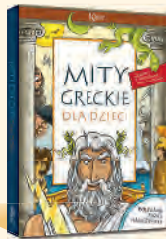
**PAJĄCZEK
NA ROWERZE**
Ewa Nowak



PIĘKNA I BESTIA
Jeanne-Marie
Leprince de Beaumont



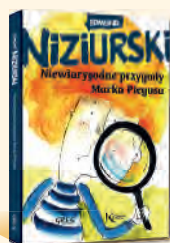
PINOKIO
Carlo Collodi



**MITY GRECKIE
DLA DZIECI**
Lucyna Szary



**O PSIE, KTÓRY
JEŹDZIŁ KOLEJĄ**
Roman Pisarski



**NIEWIARYGODNE
PRZYGODY
MARKA PIEGUSA**
Edmund Niziurski



**AWANTURA
W NIEKLAJU**
Edmund Niziurski



**KLUB WŁÓCZYKIWÓW,
CZYLI TRZYNAŚCIE
PRZYGÓD STRYJA
DIONIZEGO**
Edmund Niziurski



**SIÓDME
WTAJEMNICZENIE**
Edmund Niziurski



**SPOSÓB
NA ALCYBIADESA**
Edmund Niziurski



**KSIĘGA
URWISÓW**
Edmund Niziurski



**DOKTOR DOLLITTLE
I JEGO ZWIERZĘTA**
Hugh Lofting



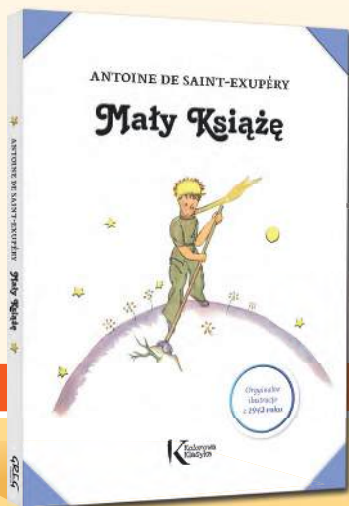
**LOKOMOTYWA
I INNE WIERSZY**
Julian Tuwim



**BRZECZWA
DZIECIOM**
Jan Brzechwa



**KRÓL MACIUS
PIERWSZY**
Janusz Korczak



**CUDACZEK-
WYŚMIEWACZEK**
Julia Duszyńska



**KLASYKA WIERSZY
DLA DZIECI**
Julian Tuwim



**KLASYKA WIERSZY
DLA DZIECI**
Jan Brzechwa

Pełnej oferty szukaj w najlepszych księgarniach i na www.greg.pl

◀ **MAŁY KSIĄŻĘ** (z ilustracjami Autora z 1942 roku)
Antoine de Saint-Exupéry

K Kolorowa
Klasyka

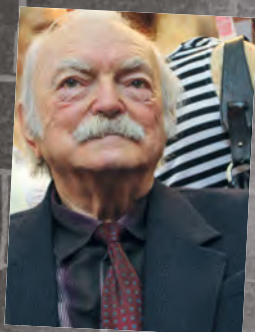


Dokąd nie chce się spóźnić Biały Królik? Jaki jest efekt jedzenia zaczarowanych ciastek? Skąd wzięło się morze łez i dlaczego Królowa nie radzi sobie z nieposłusznym kotem? Odpowiedzi na te i wiele, wiele innych pytań znajdziesz w ponadczasowej powieści Lewisa Carrolla.

Odwiedź razem z Alicją Krainę Czarów, posłuchaj dobrych rad Pana Gąsienicy, zatańcz kadryla z homarami i pamiętaj – nie trać głowy dla Królowej Kier! Twoim towarzyszem będzie tajemniczy Kot z Cheshire, który naprawdę potrafi znikać...

Nowe, bajecznie kolorowe wydanie z klimatycznymi ilustracjami Joanny Mosińskiej to gwarantowana uczta dla oczu i wyobraźni!





Edmund Niziurski (1925–2013)

Jeden z najlepszych polskich twórców literatury młodzieżowej. Urodzony w Kielcach, potem przez całe życie związany z Warszawą. Jest autorem między innymi takich powieści, jak *Sposób na Alcybiadesa*, *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, *Siódme wtajemniczenie*, *Awantura w Niektaju*, *Klub włóczykijów*, *Księga urwisów* czy *Naprzód, Wspaniali!*. Jego książki, pełne humoru i niesamowitych przygód, cieszą się niegasnącą popularnością wśród czytelników, od dzieci do dorosłych, którzy zawsze chętnie do nich wracają.



Nikt by nie przypuszczał, że zwykła prośba o przechowanie reklamówki z kilkoma przedmiotami może uruchomić istną lawinę wydarzeń, w której istotną rolę odegra spółdzielnia remontowa, ośrodek wypoczynkowy dla dzieci, dość podejrzana fundacja, a także znany już Markowi były przestępca, niezastąpiony detektyw Kwass i zawsze pomocny stryj Dionizy. Tam, gdzie pojawia się Marek Piegus, nie może być nudno!

Skompletuj całą serię **Kolorowa Klasyka**:



i inne tytuły.

Kolorowa
Klasyka

ul. Klasztorna 2B ■ 31-979 Kraków
www.greg.pl

ISBN 978-83-7517-464-9



9 788375 174649 >